

Andrzej Juliusz Sarwa



# TRZYGA



To się zdarzyło  
w Sandomierzu!

Opowiadanie  
oparte na faktach!

Andrzej Juliusz Sarwa  
Strzyga



ANDRZEJ JULIUSZ SARWA

# STRZYGA

ARMORYKA  
SANDOMIERZ 2014

## Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce: Antoine Wierzb (1806–1865) *L'Inhumation précipitée (The Hasty Burial)* (1854), (licencja *public domain*),  
źródło: [http://commons.wikimedia.org/wiki/File:The\\_Hasty\\_Burial.jpg](http://commons.wikimedia.org/wiki/File:The_Hasty_Burial.jpg)


Tekst złożono czcionką IM FELL DW Pica oraz IM FELL FLOWERS 2 —  
The Fell Types are digitally reproduced by Igino Marini.  
[www.iginomarini.com](http://www.iginomarini.com), all rights reserved  
Ornamenty złożono czcionką Fraticelli.ttf,  
której autorem i właścicielem jest Dave Nalle, The Scriptorium,  
[www.fontcraft.com](http://www.fontcraft.com), all rights reserved

Copyright © 2014 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA  
ul. Krucza 16  
27—600 Sandomierz  
tel 15 833 21 41  
e—mail: [wydawnictwo.armoryka@interia.pl](mailto:wydawnictwo.armoryka@interia.pl)  
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7950-306-3



dawało się jej, iż przyplywa skądś, z jakowejś niezmierzonej dali. Z czarnej pustki niepamięci i niebytu. Na razie była samą czystą świadomością i niczym ponadto. Zawieszona w próżni niedookreślonej, zawieszona pomiędzy istnieniem a nieistnieniem wiedziała tylko jedno, iż jest, iż po prostu jest.

I właśnie owa myśl natrętna pulsowała w mózgu:

– Jestem... Jestem... Jestem...

Nie wiedziała czy mijają sekundy czy wieki. Jej oczy nie rejestrowały obrazów. Jej uszy nie wychwytywały dźwięków. Ciśsza i ciemność. Wszechogarniająca, wszechobecna, nieskończona...

Lecz powoli, bardzo powoli jęła uświadamiać sobie, że poczyna podlegać przemianie. Odzyskiwała poczucie własnego ciała. Mrowienie w stopach, zdrętwiałe mięśnie rąk, nieprzyjemny ucisk w kręgosłupie.

Delikatnie poczęła poruszać palcami, jakby jeszcze nie dowierzając, iż może nimi władać zgodnie z własną wolą. A one

– co za radość! – by posłuszne. Zginały się i rozprostowywały w rytm sygnałów wysyłanych przez umysł.

Jakiś ciężar przygniatał jej piersi. Nie, nic na nich nie leżało. To tylko gęste, znieruchomiałe powietrze nie chciało nakarmić płuc i chociaż w nie wnikało, nie syciło przecież.

Już była sobą. Prócz czucia wracała i pamięć. Przesuwały się w niej barwne obrazy przeszłych zdarzeń...

Było lato. Tak, było lato. Za oknem w miniaturowym ogródku rosły malwy. Lubiała się wpatrywać w ich różowe, bordowe, żółte czy białe kwiaty, które zdawały się do niej uśmiechać. Lubiała patrzeć jak pszczoły siadają na płatkach, a potem wsuwają się do środka i spiwszy słodki nektar odlatują ocieżale i całe oblepione żółtym pyłkiem.

Czasami też odwiedzała ją sroka. Była to bardzo odważna sroka, bo zdarzało się, iż przycupywała na parapecie i przekrzywiwszy łebek wpatrywała się w leżącą. A później odlatywała, śmiesznie – jak to sroka – machając skrzydłami.

Lubiała patrzeć na mrówki, które w nieustannej procesji, niestrudzenie przemierzały jedną i tę samą ścieżkę nadpróchniałego parapetu, kryjąc się w szparze pomiędzy futryną, a oblaźłym z tynku ościeżem okiennym...

Lubiała patrzeć, leżąc wsparta na spiętrzonych za jej plecami poduszkach, bo cóż innego ponadto mogła czuć?

Malwy przekwitły. Obeschły brunatniejąc wysokie badyle niegdyś zielonych łądyg. Sroka nie zaglądała już do izby, bo okno zamknięte na głucho i nawet mrówki kędyś się zapodziały.

A później, później spadł pierwszy śnieg. Widziała jak wielkie, podobne do gęsiego puchu, płatki wirują w powietrzu i bezszelestnie osypując się z nieba, przykrywają ziemię. Gdy mróz stęzał, nawet pod wielką, ciepłą pierzynę zdarzało mu się wsuwać swe lodowate palce...

Przypomniała sobie, jak dzwoniły dzwony, wzywając na pasterkę. Leżąc tak tutaj, gdy mijały dni, miesiące, gdy zmieniały się pory roku, nauczyła się rozróżniać ich dźwięki. Dzwonili u Fary, u świętego Piotra, u Marii Magdaleny... Dzwonili i w innych kościołach...

Ach, jakże pragnęła móc pokonać własną słabość, wstać, przyodziać się i pójść razem z gromadą ludzi tam dokąd wzywały dzwony. Jakże chciała usłyszeć miłe skrzywienie zmarzłego śniegu pod stopami. Jakże chciała wydychać obłoczki pary, która szadzią osiadała na włosach niesfornie wymykających się spod chustki.

Dzwony przestały bić, a ona została sama z mrokiem. Z mrokiem i ciszą. Chyba wtedy płakała, chociaż nie pamięta na pewno. Wie jednak, iż za gardło schwycił ją bolesny skurcz i doznała odczucia bezsilnej wściekłości.

A potem?

Potem czas płynął jednostajnie. Skapywał miarowo, niczym krople wody z okapu dachu, kędy coraz cieplejsze i coraz wyżej wspinające się po firmamencie słońce, roztopiało brudny i zaskorupiały śnieg...

Wybielono izbę. Było czysto i schludnie. Pachniało świeżym wapnem, gotowanymi jajkami, kiełbasą, chrzanem i widłakiem, którym przyozdobiono jedzenie przeznaczone na